

THRILLERY Z PATAGONII

ZBRODNIE I TANGO



CRISTIAN PERFUMO

ZBRODNIE I TANGO

Original work copyright:

©Cristian Perfumo

Tytuł oryginału:

Los Crímenes del tango

Tłumaczenie: Piotr Jarco

Projekt okładki: Chevi de Frutos

Adaptacja polskiej wersji okładki: Joanna Jarco

Redakcja: Natalia Grzeszczak, Magda Kusa

Skład i łamanie: Piotr Jarco

ISBN: 978-83-981535-3-9 (druk)

ISBN: 978-83-981535-4-6 (audiobook)

ISBN: 978-83-981535-5-3 (EPUB)

ISBN: 978-83-981535-6-0 (MOBI)

ISBN: 978-83-981535-7-7 (PDF)

Niniejsza powieść jest dziełem fikcji,
a występujące w niej postacie
są wytworem wyobraźni autora.

www.autornia.com

e-mail: hola@autornia.com

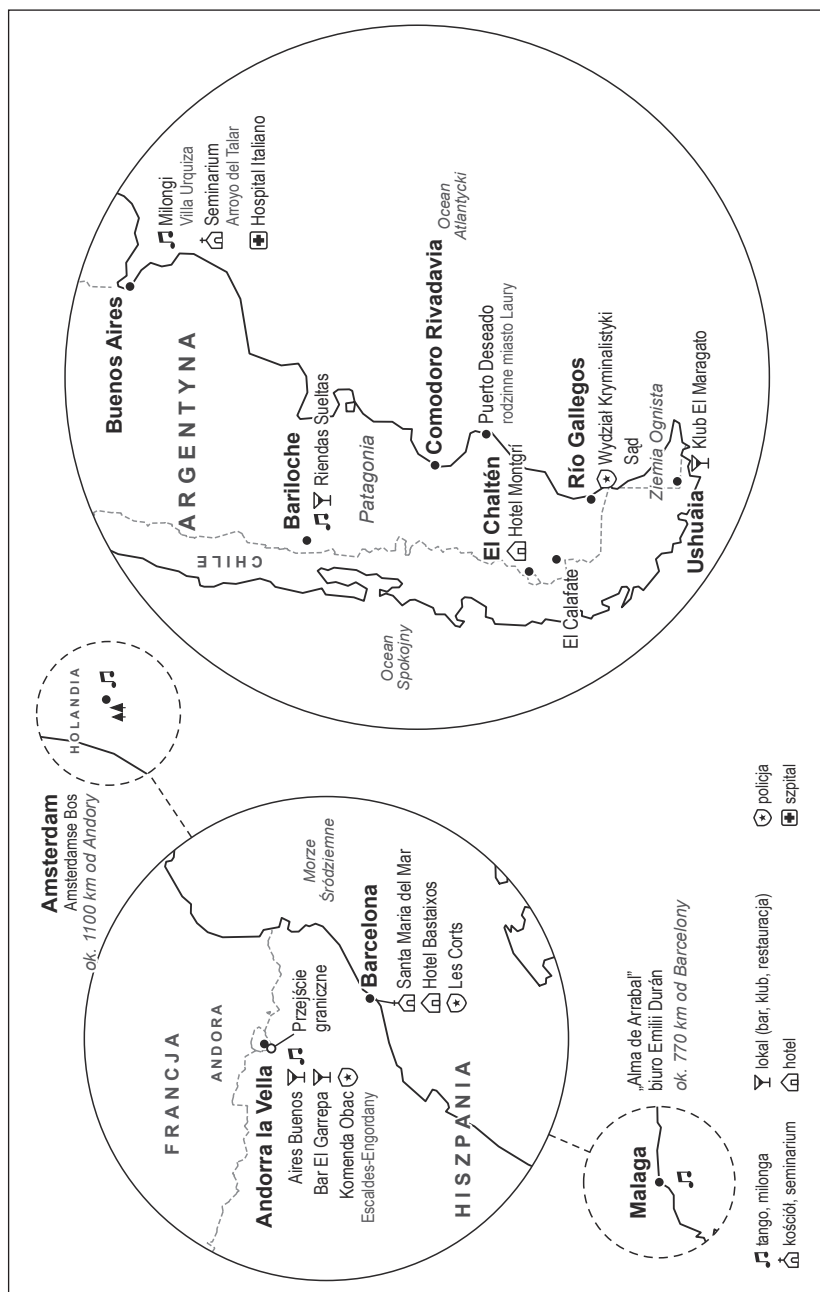
Copyright ©2026 by Studio Link Piotr Jarco

Polska, 2026

THRILLERY Z PATAGONII

ZBRODNIE I TANGO

CRISTIAN PERFUMO



„Tango to smutna myśl, którą się tańczy.”
ENRIQUE SANTOS DISCÉPOLO

PROLOG

W kostnicy panował ziąb. Był 23 lipca, środek zimy w najdalej wysuniętym na południe mieście świata, a ogrzewanie nie działało od dwóch dni, co stanowiło poważny problem.

Doktor Agustina Peñasol roztarła dłonie, chuchnęła w nie, a następnie włożyła czarne rękawiczki nitrylowe i podała drugą parę Laurze Badíi.

– Od trzech dni nie słyszałam, żeby agregat się włączył – powiedziała lekarka sądowa, wskazując na komorę chłodniczą. Kwadratowe drzwiczki ze stali nierdzewnej zawsze przypominały Laurze chłodnię w sklepie mięsny w Puerto Deseado, gdzie ciotka Susana posyłała ją w dzieciństwie po mięso na niedzielne asado. – To znaczy, że na zewnątrz jest zimniej niż w środku.

Laura skinęła głową, powstrzymując uśmiech. Agustina miała akcent z północno-wschodniej części kraju. Laura nie potrafiła określić, z której dokładnie prowincji – może z Corrientes, a może z Chaco. Tak czy inaczej, obie te prowincje leżały znacznie bliżej zwrotnika Koziorożca niż Antarktydy. Tam, jak przypuszczała, szalik uchodził za dość egzotyczną część garderoby.

Razem przeniosły zwłoki na stół sekcyjny. Mężczyzna, który przed śmiercią zbliżał się do czterdziestki, miał krótkie włosy, kanciastą szczękę i liczne tatuaże. Uwagę Laury przykuł przede wszystkim wąż na lewym policzku.

Lekarka sądowa wskazała na cięcie sekcyjne biegnące od jabłka Adama aż do spojenia łonowego.

– Wczoraj późnym wieczorem skończyłam sekcję. Z trudem znalazłam w budynku kogoś, kto pomógł mi z powrotem umieścić ciało w komorze. Myślałam, żeby zostawić je na stole, ale bałam się, że zamarznie na kość.

Laura uśmiechnęła się pod nosem. Agustina miała najwyżej trzydzieści lat. Młody wiek, wyraźny akcent i biały fartuch opięty na kilku warstwach ubrań zdradzały, że lekarka mieszka w Ushuaia najwyżej od kilku miesięcy. Żeby przywyknąć do mrozów Ziemi Ognistej na samym południu Patagonii, potrzeba znacznie więcej czasu.

– Zadzwoiłam do pani, bo czegoś takiego jeszcze w życiu nie widziałam – powiedziała lekarka z błyskiem entuzjazmu w oczach.

Laura miała ochotę zapytać, czy owo „w życiu” obejmuje całe trzy lata, które minęły od zakończenia przez Agustinę rezydentury.

Agustina wskazała przy mostku otwór wielkości monety, kilka centymetrów na lewo od cięcia sekcyjnego.

– Strzał z bliska, ze strzelby? – rzuciła pytająco Laura.

– Zgadza się. Doszło do „zbicia w pocisk”. Wyciągnęłam z rany trzysta jedenaście śrucin o rozmiarze siedem i pół.

„Nic dziwnego, że Peñasol podczas swojej krótkiej kariery nie spotkała się z czymś takim” – pomyślała Laura. Ona sama, przez szesnaście lat służby w policji, widziała kilkanaście takich ran. Przez pierwsze metry po opuszczeniu lufy śruciny leciały zwartą masą, zachowując się jak jeden pocisk. Zjawisko to nazywano „zbiciem w pocisk”. Po trafieniu zostawiały potężną wyrwę – taką jak ta, która odebrała życie leżącemu na stole Manuelowi Reláñezowi.

– Taka liczba śrucin odpowiada ładunkowi naboju 12/70, najpopularniejszej amunicji do strzelb gładkolufowych – wyjaśniła Laura. – To nie jest codzienny widok, ale też nie jest to nic nadzwyczajnego.

Peñasol pokręciła głową.

– Nie zaskoczyła mnie sama rana, ale to, co znalazłam w środku. Oprócz śrutu.

Agustina podeszła do regału, na którym stały obok siebie książki, mikroskop i ekspres do kawy. Kiedy wyciągnęła rękę, szew fartucha pod pachą puścił z cichym „trrrr”.

– Fartuch zawsze lepiej brać o numer lub dwa za duży – poradziła Laura. – Witaj w Patagonii.

Peñasol uśmiechnęła się i sięgnęła po przezroczyste, akrylowe pudełeczko z półki. Potrząsnęła nim jak grzechotką i postawiła obok głowy

zmarłego. W środku znajdował się splaszczony od uderzenia pocisk, prawdopodobnie kalibru dziewięć milimetrów.

– Tkwił dwa centymetry od serca.

– Na ciele nie było innych ran wlotowych? – zapytała Laura, choć entuzjazm Agustiny już zdradzał jej odpowiedź.

– Nie – odparła lekarka sądowa. Wyglądała, jakby z trudem powstrzymywała szeroki uśmiech i zawołanie: „Zimno, zimno”.

– Jest jeszcze jedna możliwość: oba strzały trafiły w ten sam otwór – podsunęła Laura. – To skrajnie mało prawdopodobne, ale nie można tego wykluczyć...

Agustina pokręciła głową. Otworzyła plastikowe pudełko i podała lupę Laurze.

– Proszę spojrzeć na zagięcia.

Jak każdy gwałtownie wyhamowany pocisk, ten kawałek ołowiu przypominał raczej przeżutą gumę niż nabój. W jego zagięciach utkwiły drobne drzazgi, brunatne od utlenionej krwi.

Agustina wskazała na mikroskop balistyczny.

– To drzazgi drewna – powiedziała. – Według inżyniera agronoma, z którym to konsultowałam, pochodzą najprawdopodobniej z sosny albo innego drzewa iglastego.

W swojej karierze śledczej Laura widziała zbiegi okoliczności mniej prawdopodobne niż podwójna wygrana na loterii, ale ten wydawał jej się przesadą.

– Sugerujesz, że pocisk wystrzelono w innym kierunku, ale zrykosztował od drewna i wpadł dokładnie w otwór po śrucie?

Agustina otworzyła szeroko oczy. Wyglądała nie tylko na zaskoczoną, ale i rozczarowaną. Laura miała ochotę posłać ją do diabła, jak mawia Julián, gdy się złości. Powstrzymała się, bo w młodej lekarce widziała siebie sprzed dziesięciu lat: kobietę, która próbowała zrobić pożytek ze swojej obsesji na punkcie śmierci.

– Nie – odparła lekarka, a z jej ust uniósł się obłoczek pary. – Moim zdaniem wyjaśnienie jest prostsze i, z całym szacunkiem, nieco bardziej prawdopodobne.

Agustina chwyciła oburącz niewidzialną strzelbę i wycelowała w pierś Laury.

– Strzelono do niego. Śrut, który trafił w ciało, zachował się jak jeden pocisk, a rana okazała się śmiertelna. Po śmierci ofiary zabójca własnoręcznie wcisnął w ranę pocisk, który wcześniej wystrzelił.

Wyjęła z kieszeni równie niewidzialny przedmiot i teatralnym gestem wcisnęła go w ranę tak głęboko, że kostki dłoni oparły się o klatkę piersiową.

ROZDZIAŁ 1

Rok później

Gdy zadzwonił telefon, Laura stała z Juliánem, swoim partnerem, pod szczęką *Custossaurusa sarai*, największego mięsożernego dinozaura odkrytego do tej pory. Widok nazwiska Rodolfa Lamuedry na ekranie telefonu zaskoczył ją. Od czasu sprawy z kolekcjonerem strzał niemal w ogóle się nie kontaktowali.

Naprawdę minęło już pięć lat? Niewiarygodne, biorąc pod uwagę, jak to wszystko się skończyło...

Laura skinęła na Juliána, żeby kontynuował zwiedzanie wystawy, a sama usiadła na jednej z długich, tapicerowanych ławek.

– Komisarzu?

– Lauro, moja droga. Jak się masz?

– Bardzo dobrze, dziękuję.

– Jesteś w Barcelonie, prawda? Chyba że zostałem źle poinformowany?

– Został pan dobrze poinformowany.

– Jak wam się układa wspólne życie?

– Widzę, że jest pan na bieżąco.

– Nietrudno śledzić twoje losy. Mało który policjant tak się wyróżnia, a dodatkowo ludzie gadają: „Awansowała na komisarza inspektora”, „Kieruje policją kryminalną”, „Od poniedziałku do piątku pracuje w Rfo Gallegos, a weekendy spędza w El Chaltén”, „Związała się z Hiszpanem, właścicielem hotelu”.

Laura spojrzała na Juliána, który oddalał się między replikami olbrzymich skamieniałości. Cieszył się jak dziecko. Gdy tylko dowiedział się, że Muzeum Nauki w Barcelonie organizuje wystawę dinozaurów z Patagonii, oznajmił Laurze, że nie mogą jej przegapić.

Widok Juliána, z zachwytem przyglądającego się szkieletom, uspokajał ją. Będzie dobrym ojcem. A ona...

– Przypuszczam, że wie pan również o mojej ciąży. Jestem w szóstym miesiącu i spodziewam się dziewczynki.

– O tym nie wiedziałem!

Lamuedra obsypał ją gratulacjami. Opowiedział o własnych dzieciach, poradził, żeby spała, póki może, i zapytał o jej samopoczucie.

– Czuję się dobrze. W pierwszym trymestrze trochę mnie mdliło, ale w porównaniu z tym, przez co przechodzą inne ciężarne, nie mam prawa narzekać.

– Wybraliście już imię?

– Na razie mówię na nią Pisklak – odparła Laura, gładząc się po brzuchu.

– Na twoim miejscu poszukałbym czegoś bardziej klasycznego.

– Zna mnie pan, komisarzu. Klasyka zwykle wpędza mnie w kłopoty.

Lamuedra milczał przez kilka sekund. Być może zastanawiał się, czy w słowach Laury pobrzmiewa autorefleksja, czy też była to jakaś aluzja.

– A tak na poważnie, Lauro, nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę. Naprawdę. Czeka cię największa przygoda w życiu.

– Dziękuję, komisarzu. A teraz proszę powiedzieć, w czym mogę pomóc.

– Tak... Nie, właściwie to w niczym. To nic ważnego. Chciałem ci tylko o czymś powiedzieć, ale... gdybym wiedział, że jesteś w ciąży, nawet nie pomyślałbym, żeby do ciebie dzwonić.

– Jestem tylko grubsza i bardziej zmęczona. Proszę mówić dalej.

– Chyba nie wypada. Długo wahałem się, czy w ogóle ci przeszkadzać, skoro jesteś na urlopie.

– Dlaczego po prostu mi pan nie powie i nie pozwoli samej zdecydować, czy mi to przeszkadza?

Zaskoczył ją własny ton. Kilka lat wcześniej nie ośmieliłaby się mówić w ten sposób do Lamuedry. Teraz jednak komisarz nie był już jej przełożonym, a hormony ciążowe pozbawiły ją cierpliwości do podobnych ceregieli.

Julián, stojąc u stóp drugiego dinozaura, spojrzał na nią, uśmiechnął się i gestem zapytał, czy wszystko w porządku. Odpowiedziała uniesionym kciukiem i bezgłośnie posłała mu buziaka.

– Jak daleko od Andory jesteś? – zapytał Lamuedra.

– Wydaje mi się, że to jakieś trzy godziny jazdy stąd.

– Tak też podpowiadał mi internet. Dzwonię, żeby zaproponować, żebyś tam pojechała.

Wiedza Laury o Księstwie Andory ograniczała się do czterech informacji zasłyszanych od Juliána: to niewielki kraj między Hiszpanią a Francją; jego językiem urzędowym jest kataloński; roi się tam od argentyńskich instruktorów narciarstwa, a tamtejsze banki skrywają wiele z największych hiszpańskich fortun.

– A co w Andorze mogłoby mnie zainteresować, komisarzu?

– Zwłoki Stefana Wachtera, sześćdziesiąt jeden lat. Zginął przedwczoraj od strzału w pierś z bliskiej odległości, z użyciem amunicji śrutowej. Zgadnij, co jeszcze znaleziono w ranie.

– Tylko niech mi pan nie mówi...

– Pocisk kalibru 9 mm, który został umieszczony w ranie *post mortem*.

Laura nie wiedziała, co odpowiedzieć. Przez moment przemknęło jej przez myśl, że to jakiś dowcip, ale Lamuedra nie żartował z takich rzeczy.

– To bardzo przypomina zabójstwo Manuela Reláñeza w Ushuaia sprzed roku, prawda?

– Jest identyczne. Skąd pan o tym wie?

– W systemie pojawił się międzynarodowy alert. Ushuaia przeżywa najazd zagranicznych turystów, dlatego policja Ziemi Ognistej przytomnie wprowadziła dane sprawy do bazy Interpolu. Kiedy policjanci z Andory zrobili to samo, system wykrył podobieństwo.

Do tego momentu wszystko miało sens. Laura nie rozumiała tylko, dlaczego dzwonił do niej Lamuedra. Nadal był komisarzem w Puerto Deseado – niewielkim mieście, w którym się urodziła, spędziła znaczną część życia i zaczynała karierę. Wyjechała stamtąd pięć lat temu. Puerto Deseado i Ushuaia leżały w różnych prowincjach, dlatego nie mogły podlegać tej samej jurysdykcji. Dlaczego więc skon-

taktował się z nią Lamuedra, a nie ktoś z policji federalnej lub policji Ziemi Ognistej?

– Wiesz, że sprawców zabójstwa Reláñeza nigdy nie odnaleziono, prawda?

Oczywiście Laura wiedziała i rozumiała, dlaczego komisarz o to pytał. Uczestniczyła jedynie w początkowej fazie śledztwa, przez dwa miesiące zastępując miejscowych specjalistów. W tamtym czasie jedyni dwaj kryminaliści na Ziemi Ognistej wykazali się zdumiewającym wyczuciem czasu: jeden dostał zawału serca, a drugi uległ wypadkowi samochodowemu. Oba zdarzenia miały miejsce w odstępie krótszym niż tydzień. Policja wyspy poprosiła o pomoc Santa Cruz, najbliższą prowincję, a Laura została oddelegowana na sześćdziesiąt dni do Ushuaia.

– Tak, od czasu do czasu rozmawiam z ludźmi z Ziemi Ognistej. Ale co to ma wspólnego z panem, komisarzu?

– Absolutnie nic – roześmiał się Lamuedra. – Dowiedziałem się przypadkiem. Jestem w Río Gallegos na kongresie i Sanahújar opowiedziała mi o sprawie. Szef policji Ziemi Ognistej poprosił ją, żeby cię powiadomiła, ale odmówiła, bo jesteś na urlopie.

Komisarz nadinspektor Valentina Sanahújar należała do ścisłego kierownictwa policji Santa Cruz. W hierarchii dzieliły ją od ministra bezpieczeństwa zaledwie dwie osoby. Była również bezpośrednią przełożoną Laury, która od roku pełniła funkcję dyrektorki generalnej pionu kryminalistyki.

– Nalegałem – ciągnął komisarz. – Zakładałem, że jesteś w Barcelonie, ale ona powtórzyła, że nie zamierza się z tobą kontaktować. Ani słowem nie wspomniała o twojej ciąży. Wiesz, jaka ona jest.

Im lepiej Laura poznawała Sanahújar, tym bardziej podziwiała jej profesjonalizm.

– Skoro nie skontaktowała się ze mną moja bezpośrednia przełożona, to dlaczego pan to zrobił?

– Bo cię znam. Gdybyś kiedyś dowiedziała się, że byłaś niespełna trzysta kilometrów od tych zwłok, a ja nic ci o tym nie powiedziałem, nigdy byś mi nie wybaczyła.

Laura uśmiechnęła się do Juliána, który stał obok skamieniałości olbrzymiego żółwia. Gdy Julián na nią spojrział, nadął policzki i powoli zamachał ramionami, jakby płynął. Tak, bez wątpienia będzie wspaniałym ojcem.

– Ma pan rację, komisarzu. Dobrze, że mnie pan powiadomił. Dziękuję. Zaraz zadzwonię do Sanahújar.

– Zaprzeczę, gdy zapytają, czy dowiedziałas się ode mnie.

– Wyprzemy się wszystkiego, komisarzu. To nie pierwszy sekret, który zabierzemy do grobu.

Oboje się roześmiali. Laura jeszcze raz mu podziękowała.

– Jeszcze jedno, Lauro.

– Słucham.

– Ta mała wygrała na loterii. Znam cię i wiem, że będziesz wspaniałą matką.

ROZDZIAŁ 2

Po dwudziestu minutach błędzenia po krętych, niewiarygodnie stromych uliczkach Laura wreszcie znalazła miejsce parkingowe dla samochodu pożyczonego od matki Juliána. Ruszyła w dół, w stronę centrum Andorra la Vella, stolicy Księstwa. Szła ciężko, jakby brzuch ciągnął ją do przodu.

Miasto leżało w dolinie otoczonej zalesionymi górami, które przesłaniały horyzont. Było to zupełne przeciwieństwo patagońskiego płaskowyżu. Im niżej schodziła, tym nowsze, bardziej luksusowe i ekstrawaganckie budynki mijała.

Na alei Meritxell Laura wtopiła się w tłum. Ludzie wchodzili i wychodzili z perfumerii, sieciowych fast foodów i butików ekskluzywnych marek. Gdyby nie liczne kioski z prasą i oddziały banków, aleja przypominałaby ogromny terminal lotniczy pod gołym niebem.

Zatrzymała się przy rzeźbie Salvadora Dalego – słynnych miękkich zegarach – i stamtąd połączyła się z Juliánem na wideo.

– Chyba przeprowadzę się do Andory – oznajmiła, gdy tylko odebrał. – Nie masz pojęcia, jakie tu jest przyjemne i rześkie powietrze. W Barcelonie po prostu się gotowałam.

– Brakuje ci tylko kanału na YouTubie, który przynosi milionowe dochody.

– Trupy są wszędzie. Na brak pracy raczej nie będę narzekać.

– Skoro już o tym mowa, udało ci się porozmawiać z Sanahújar? Chciała się z tobą skontaktować. Dzwoniła do mnie jej sekretarka.

– Sanahújar ma sekretarza, nie sekretarkę.

– A do mnie dzwonił... Czekaj, nie masz od niej żadnych nicodebranych połączeń?

– Nie.

– Dziwne. Mówiła, że próbowała się z tobą skontaktować, ale miałaś wyłączony telefon albo byłaś poza zasięgiem. Nawet jeśli po drodze do Andory traciłaś zasięg, to powinnaś dostać powiadomienia o nieodebranych połączeniach.

Faktycznie, to było dziwne.

– Nieważne. Zaraz do niej oddzwonię i wyjaśnimy sprawę.

Podniosła wzrok. Na betonowej fasadzie trzypiętrowego gmachu powiewała flaga Andory. Dotarła do kompleksu administracyjnego l'Obac, gdzie mieściła się główna siedziba andorskiej policji. Pożegnała Juliána głośnym cmoknięciem, po czym zapiszczała cienkim głosem: „Pa, tato. Do zobaczenia niedługo”.

W środku unosił się zapach tuszu do drukarek połączony z wonią jabłkowego odświeżacza powietrza.

– Dzień dobry. Nazywam się Laura Badía i reprezentuję argentyńską policję – zwróciła się do jedynego funkcjonariusza za biurkiem przy wejściu. – Mam informacje w sprawie zabójstwa Stefana Wachtera. Muszę porozmawiać ze śledczym prowadzącym tę sprawę.

Policjant zachował pokerową twarz – trzeba przyznać, wychodziło mu to znakomicie. Nie sposób było odgadnąć, czy w ogóle wie, o czym mówi Laura. Jednak w kraju liczącym zaledwie osiemdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców trudno było uwierzyć, że jakikolwiek policjant mógł nie słyszeć o tak nietypowej zbrodni.

– Proszę na chwilę usiąść.

Laura usiadła na drewnianej ławce pod ścianą. Z głębi pomieszczenia dobiegał głos dyżurnego rozmawiającego przez telefon po katalońsku. Po dwóch latach z Juliánem całkiem nieźle rozumiała ten język, ale mężczyzna mówił tak cicho, że zdołała wychwycić jedynie końcowe „d'acord”.

– Kolega zaraz do pani zejdzie – rzucił, po czym wrócił do swoich papierów.

Kwadrans później drzwi windy rozsunęły się. Wysiadł z niej mężczyzna po pięćdziesiątce, ubrany w dżinsy i czarną skórzaną kurtkę narzuconą na koszulkę w tym samym kolorze. Był przeraźliwie chudy,

z lekko odstającym brzuchem. Opalona twarz, zapadnięte policzki i wydatne kości policzkowe, a także kręcone, szpakowate włosy i rzadka siwa broda nadawały mu nieco niechlujny wygląd przebrzmiałego rockmana.

– Dzień dobry. Inspektor Enric Sallent, kierujący zespołem do spraw zabójstw. Dyżurny przekazał, że ma pani dla nas informacje.

– Pracuję w policji prowincji Santa Cruz w Argentynie. Baza Interpolu wykazała powiązanie między zabójstwem popełnionym rok temu w Patagonii a tym sprzed dwóch dni w Andorze. Obie ofiary zamordowano przy użyciu strzelby, a po śmierci w ich rany wciśnięto dziewięciomilimetrowe pociski pistoletowe.

– W czym dokładnie mogę pani pomóc?

– Chcę wymienić się informacjami. Jeśli uznamy, że za oboma zabójstwami stoi ten sam sprawca, powinniśmy połączyć siły.

– Niech pani posłucha, pani...

– Komisarz inspektor Laura Badía – przedstawiła się, pokazując legitymację.

– Pani komisarz, to prawda: mamy zwłoki z ranami odpowiadającymi temu opisowi. Sprawa trafiła nawet do mediów. Wiem też o powiązaniu ze sprawą argentyńską. Nie dostałem jednak polecenia, by dzielić się z kimkolwiek informacjami. Nikt mnie też nie uprzedzał o pani wizycie.

– Oczywiście, że nikt pana nie uprzedził. Jestem na urlopie, odwiedzam rodzinę partnera w Barcelonie. O powiązaniu w systemie Interpolu dowiedziałam się od kolegi. Musiałam tu przyjechać. Nasze śledztwo od roku stoi w miejscu.

Mężczyzna westchnął ciężko i spojrzał jej w oczy.

– Doskonale to rozumiem. Na pani miejscu postąpiłbym tak samo. Jednakże nie mogę naginać procedur. Prawdopodobnie wymienimy się informacjami oficjalną drogą, przez Interpol. Niewykluczone, że będziemy później współpracować zdalnie.

– Zdalnie? Przecież stoimy twarzą w twarz, tu i teraz. Czy może być lepsza okazja?

Mężczyzna jedynie rozłożył ręce.

– Naprawdę nie mogę nic zrobić.

Laura jeszcze kilka razy próbowała do niego podejść, ale bezskutecznie. Przekonywanie policjanta na służbie do zmiany zdania przypominało walenie głową w mur. Sama nieraz bywała takim „murem”.

– Niech mi pan chociaż pozwoli zostawić swój numer. Gdybym mogła się do czegoś przydać, proszę dzwonić. Będę w Barcelonie jeszcze przez dwa tygodnie.

Sallent przyjął wizytówkę Laury, ale nie wręczył jej swojej. Następnie przeprosił i zakończył rozmowę, tłumacząc się nawąłem obowiązków.

– Macie już wyniki toksykologii? – rzuciła Laura do Sallenta, który czekał na windę.

– Nie mogę udzielać takich informacji.

To jej wystarczyło. Gdyby nadal czekali na wyniki, po prostu powiedziałby „nie”, żeby jak najszybciej się jej pozbyć.

– Skopolamina? – zaryzykowała.

Drzwi windy ze stali nierdzewnej otworzyły się z cichym brzęknięciem, lecz Sallent nie ruszył się z miejsca, wciąż wpatrując się w nią w milczeniu.

„Dobrze ci idzie” – pomyślała.

– Lubi pan piwo, inspektorze?

– A co to ma do rzeczy?

Laura podeszła bliżej i wyciągnęła dłoń.

– Założę się o piwo, że najpóźniej za cztery godziny sam pan do mnie zadzwoni, po lekturze raportu z Ushuaia. W organizmie naszej ofiary również wykryto skopolaminę.

– Jeśli zadzwonię, może pani być pewna, że to ja stawiam.

Laura wyprostowała się, jeszcze mocniej ekspozując swój brzuch.

– Dla mnie bezalkoholowe. Droższe, ale biorąc pod uwagę mój stan, chyba nie będzie pan protestował.

Odwrociła się na pięcie i wyszła z budynku, nie żegnając się ani z Sallentem, ani z dyżurnym. Gdy chłodne powietrze musnęło jej twarz, uśmiechnęła się szeroko.

– Chyba trafiliśmy w sedno, Pisklaku – mruknęła, gładząc się po brzuchu.

ROZDZIAŁ 3

Enric Sallent zadzwonił dwie godziny później.

– Jest pani jeszcze w Andorze?

– Oczywiście. Upewnił się pan, że obie sprawy rzeczywiście są podobne i zdążył pan sprawdzić, czy naprawdę jestem tym, za kogo się podaję?

– Żeby mieć całkowitą pewność, musiałbym zobaczyć pani paszport.

– Mogę wrócić na komisariat.

– Tutaj nie sprzedają piwa. Właśnie wysłałem pani wiadomość, żeby miała pani mój numer. Proszę podać lokalizację, jaka pani odpowiada. Podjadę.

Dziesięć minut później Laura, czekająca przed sklepem z ubrankami dla niemowląt, wsiadła do nieoznakowanego radiowozu, który zatrzymał się przed nią. Podała Sallentowi dokument. Inspektor dokładnie obejrzał go, centymetr po centymetrze, sprawdzając zabezpieczenia na podstawie informacji o argentyńskich paszportach. Oddał go dopiero po zweryfikowaniu ostatniego hologramu i znaku wodnego.

– Skąd miała pani pewność, że zadzwonię?

– Na komisariacie zrobił pan dokładnie to, co sama zrobiłabym na pana miejscu. Gdybym potem potwierdziła pańską tożsamość, również bym zadzwoniła. A teraz proszę zabrać mnie tam, gdzie podają najdroższe piwo w Andorze.

Sallent uśmiechnął się. Laura, z trudem naciągając pas bezpieczeństwa do oporu, w końcu zdołała go zapiąć. Inspektor wrzucił pierwszy bieg i ruszył. Nacisnął przycisk pod kierownicą, a wówczas za przednią szybą rozbrzły ukryte niebieskie światła i z głośników zawył potężna syrena.

– Proszę wybaczyć ten hałas. Korki w Andorze to istny koszmar – wyjaśnił, zręcznie lawirując między samochodami. – Czy mogłaby mi pani opowiedzieć o Manuelu Reláñezie? Czytałem akta, ale, jak słusznie pani zauważyła, nic nie zastąpi rozmowy w cztery oczy.

– Reláñeza zamordowano w lesie graniczącym z Ushuaia. W zagłębieniach pocisku, który wetknięto w ranę już po śmierci, tkwiły sosnowe drzazgi. Ciało znaleziono jednak wśród lenga i coihue – endemicznych drzew patagońskiego lasu andyjskiego, niespokrewnionych z iglastymi.

– Innymi słowy, w miejscu śmierci nie rosły sosny.

– Nie znaleźliśmy ani jednej. Żywej bądź suchej.

– Jak pani sądzi, co się wydarzyło?

– Widzę tylko jedno wyjaśnienie: zbrodnia była zaplanowana. Zabójca przyniósł pocisk, który wcześniej wystrzelił w kawałek sosnowego drewna. Być może wybrał miękkie drewno, żeby potem łatwiej odzyskać pocisk. Przeprowadziliśmy próby balistyczne. Przy tym kalibrze deska musiałaby mieć co najmniej osiem centymetrów grubości; przez cieńszą pocisk przeszedłby na wylot.

– Rozumiem, że tego kawałka drewna nigdy nie znaleźliście?

– Nie. To mogło być cokolwiek: kawałek belki, grube polano, pień drzewa...

Sallent wyłączył syrenę. Miasto zostało w dole. Krętą szosą wspinali się w głąb tego niewielkiego kraju, w kierunku Francji.

– My również zakładamy, że sprawca zamordował ofiarę w lesie ze strzelby, a następnie umieścił pocisk pistoletowy w ranie.

– Dokąd jedziemy?

Sallent wskazał przed siebie. Tuż przed zakrętem w lewo jezdnia się rozwidlała. Zjechali z szosy na zapomnianą, dziurawą drogę, z której splekanego asfaltu wyrastały chwasty.

– Wygląda na to, że nie znajdziemy tu piwa bezalkoholowego.

– To zostawimy sobie na później.

Sallent zatrzymał samochód obok opuszczonego domu. Drzwi i okna były zamurowane, a rośliny wyrastające spomiędzy dachówek sięgały pół metra. Na pniu młodego drzewa wciąż wisiał strzęp policyjnej taśmy, którą technicy odgrodzili miejsce zbrodni.

– To tutaj zabito Stefana Wachtera – powiedział tuż przed wyjściem z samochodu.

Laura ruszyła za nim ścieżką ginącą wśród chwastów. Zatrzymali się przy domu, między zardzewiałym rusztem, na którym od dziesięcioleci nie rozpalano ognia, a wielkim kamiennym stołem wspartym na grubym filarze. Laurze przypominał on ołtarz. Sallent wskazał ziemię dwa metry dalej. Na zgniecionej trawie wciąż widniały brunatne plamy.

– Kto znalazł ciało?

– Dziennikarz z *Diari d'Andorra* przygotowywał fotoreportaż o opuszczonych budynkach. Redakcja miała na tyle wyczucia, że nie opublikowała zdjęć, ale w artykule i tak ujawniono zbyt wiele szczegółów.

Laura odniosła wrażenie, że Sallent świetnie się bawi w roli filmowego detektywa. Sama miała zwyczaj sprawdzać w Google niemal każdą nowo poznaną osobę, więc jego również uprzednio wyszukała. Wyniki były skromne: oficjalny dokument andorskiej policji oraz artykuł z *Diari d'Andorra*, w którym figurował jako dowodzący nalotem na instruktora narciarstwa handlującego kokainą.

– Wygląda na to, że mało kto tu zagląda – zauważyła Laura. – Z szosy też nic nie widać, bo dom wszystko zasłania.

– Właśnie. Miejsce jest ukryte, ale łatwo dostępne – zaledwie sto metrów od głównej drogi. To pozwala sądzić, że sprawca dobrze znał teren.

– A może to ofiara wyznaczyła to miejsce na spotkanie?

– Wykluczone. Wachter był obcokrajowcem i nigdy wcześniej nie odwiedził Andory.

To rozumowanie nie przekonało Laury, ale zachowała swoje wątpliwości dla siebie. Bo niby jakie doświadczenie w sprawach o morderstwo mógł mieć policjant z mikroskopijnego państewka o znikomej przestępczości?

– Morderca przywiózł ofiarę w to miejsce, by w spokoju odprawić swój rytuał. Podobnie jak w waszej sprawie z Ushuaia, badanie toksykologiczne wykazało wysokie stężenie skopolaminy, zwanej też burundangą.

Laura skinęła głową. Wachtera odurzono tym samym specyfikiem co Reláñeza. Ostatnio zrobiło się głośno o burundandze. Substancja ta odbierała ofiarom wolę, zmieniając je w posłuszne marionetki, które po wszystkim niczego nie pamiętały. Najczęściej używano jej podczas napaści seksualnych, choć Reláñeza nie padł ofiarą ataku na tym tle.

– Czy na ciele Wachtera znaleziono ślady napaści seksualnej? – zapytała Laura.

– Nie.

– Czyli zarówno pańską ofiarę, jak i moją odurzono, by pozbawić je woli i bez oporu wywieźć na odludzie.

– Zgadza się. Na ciele Wachtera nie było śladów walki ani prób uwolnienia się z więzów. Z akt wynika, że w przypadku Reláñeza było tak samo.

Na moment zapadła cisza.

– Obie sprawy są niemal identyczne. Z wyjątkiem oka – skomentował Sallent.

– To znaczy?

Andorczyk spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Nie czytała pani raportu z sekcji zwłok naszej ofiary?

– Nie miałam okazji. Właściwie dopiero niedawno, dzięki bazie Interpolu dowiedziałam się, że te sprawy są powiązane. Co się stało z jego okiem?

Sallent ruszył z powrotem do samochodu.

– Najlepiej będzie, jeśli sama pani to zobaczy.

ROZDZIAŁ 4

Andorska kostnica niewiele różniła się od tych w Argentynie. Sprzętu było może trochę więcej, a środek dezynfekujący pachniał inaczej. Poza tym Laura widziała te same gładkie powierzchnie, białe kafelki i komory chłodnicze, w których ciała przechowywano w temperaturze dwóch stopni Celsjusza.

Lekarz sądowy, Thomas Douesnel, był barczystym mężczyzną mówiącym po hiszpańsku z francuskim akcentem.

– Stefan Wachter. Przyczyna śmierci: postrzał z broni palnej w klatkę piersiową z niewielkiej odległości.

Laura spojrzała na zamknięte oczy ofiary. Na lewej powiece widniały dwa drobne czerwone ślady, jakby ktoś przekłuł ją szydłem od środka.

– W ranie tkwił pocisk kalibru 9 mm, który jednak musiał być wystrzelony wcześniej.

– W jego załamaniach też tkwią drzazgi? – zapytała Laura.

– Tak.

– Z suchej sosny albo innego drzewa iglastego?

Douesnel spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Zgadza się.

– Mówiłem ci, Thomas. – wtrącił Sallent. – Podobieństwa do argentyńskiej sprawy są uderzające.

– Powinniśmy porównać ślady gwintowania na pociskach kalibru dziewięciu milimetrów, żeby sprawdzić, czy wystrzelono je z tej samej broni.

– Tak. Szkoda, że nie da się porównać śrucin. Narzędziem zbrodni była strzelba, a nie pistolet kalibru dziewięciu milimetrów.

– Mimo wszystko mało prawdopodobne, żeby użyto tej samej strzelby – zauważyła Laura. – Broń palną bardzo trudno przewieźć z jednego kraju do drugiego. Co się stało z lewym okiem?

Lekarz sądowy uniósł powiekę ofiary. Odsłonięta gałka oczna wyglądała, jakby potraktowano ją tarką do sera.

– Wbito w nią kawałek płyty winylowej o ostrych krawędziach. Uszkodzenia sięgają głębiej niż soczewka.

Douesnel podszedł do ekranu i wyświetlił zdjęcie małego, czarnego trójkąta. Linijka sfotografowana obok wskazywała, że każdy z jego boków mierzył około dwóch centymetrów. Przedmiot przypominał kawałek plastiku o rowkowanej powierzchni.

– Zwykła płyta winylowa?

– Tak. Wygląda na to, że trójkąt został wycięty ręcznie piłą o cienkim brzeszczocie.

Laura mimowolnie zamrugwała. Nie wyobrażała sobie nawet, że mogłaby nosić soczewki kontaktowe. Już na samą myśl o tym, że coś dotyka jej oka, przechodził ją dreszcz.

– Wbito mu to, kiedy jeszcze żył?

– Nie. *Post mortem*.

– Rozumiem, że w zabójstwie w Ushuaia nie było nic podobnego...? – wtrącił Sallent.

– Absolutnie nie. Reláñez miał na celu wyłącznie śmiertelną ranę. Jedynym ciałem obcym, poza śrutem, był pocisk kalibru dziewięciu milimetrów.

– Jeśli pominiemy winyl, obie sprawy są identyczne – podsumował Sallent. – Ofiary odurzono tą samą substancją, zabito nad ranem, używając takiej samej amunicji i strzelając z podobnej odległości. Następnie włożono im do ran pociski identycznego kalibru, wcześniej wystrzelone w blok z tego samego rodzaju drewna.

– Wie pan, w jaki sposób podano mu burundangę? – zapytała Laura lekarza sądowego.

– W żołądku nie znaleziono śladów narkotyku, natomiast w płucach i na skórze twarzy już tak.

– Czyli ktoś dmuchnął mu proszkiem w twarz – stwierdziła Laura. – To kolejna zbieżność między zabójstwami.

– Dmuchnął w twarz? – zdziwił się Sallent.

Pod względem przestępczości Andora była niczym wioska Smerfów.

– Często podaje się tę substancję w ten sposób podczas ataków z zaskoczenia. Ktoś dzwoni do drzwi, ofiara otwiera i... puf. Kilka godzin później odzyskuje przytomność na podłodze własnego domu. Wokół niej wszystko jest wywrócone do góry nogami, a jej ostatnie wspomnienie to biała chmura przed twarzą.

– Znałem ten narkotyk, ale nie wiedziałem, że można go podać w ten sposób – przyznał Sallent. – Dmuchięcie komuś proszkiem w twarz i zmienienie go w marionetkę... To brzmi jak czarny kryminał.

Laura polubiła go za ten komentarz. W policji przyznanie się do niewiedzy było zazwyczaj postrzegane jako słabość. Tym przyjemniej było spotkać kogoś, kto otwarcie przyznawał, że czegoś nie wie, a mimo to potrafił się tym wszystkim fascynować.

– Tyle że w rzeczywistości ten biały proszek może wywołać tachykardię, zawroty głowy, a w szczególnych przypadkach nawet śmierć – wtrącił lekarz.

Przez chwilę w kostnicy słysząc było jedynie szum komór chłodniczych.

– Zbadaliście już ten kawałek winylu? – zapytała w końcu Laura.

– Analizujemy go pod każdym kątem. Szukamy odcisków palców i DNA, próbujemy ustalić narzędzie użyte do cięcia i oczywiście rodzaj nagranej na nim muzyki. Możemy od razu zgłosić się do osoby prowadzącej badanie.

Laura skinęła głową, pożegnała się z lekarzem sądowym i razem z Sallentem wyszła z kostnicy.

– Ma pan coś przeciwko temu, żebyśmy poszli pieszo? – zapytała, gdy tylko poczuła na twarzy ciepłe powietrze.

Sallent zerknął ukradkiem na jej brzuch.

– Do komisariatu jest dwadzieścia minut piechotą. Czy nie wolałaby pani, żebyśmy pojechali samochodem?

– Spokojnie, to nie odpadnie.

Andorczyk zachichotał. Ruszyli razem aleją, którą luksusowe samochody sunęły w żółwym tempie.

– Czego dowiedział się pan dotąd o Wachterze? – zapytała Laura.
– Austriak, sześćdziesiąt jeden lat. Pracował w Wiedniu, w centrali jednego z największych banków w kraju. Do Andory przyjechał służbowo, oficjalnie w celu przedstawienia lokalnemu bankowi oferty przejęcia części aktywów.

– Oficjalnie?

Sallent uśmiechnął się, ale nie zwolnił ani na nią nie spojrzał.

– Przez wiele lat byliśmy rajem podatkowym. Teraz, przynajmniej teoretycznie, już nie, ale działalność naszych instytucji finansowych nadal spowija tajemnica.

– Czyli Wachter był zamożny.

– Spał na pieniądzach.

– Wykształcony?

– Zapewne. Ukończył Harvard.

– Więc mamy tu kolejną różnicę: nasz bohater nie skończył podstawówki. Co więcej, był zadłużony i prowadził burdel na obrzeżach Ushuaia.

– Być może nic ich nie łączyło, choć zostali zabici przez tę samą osobę.

– Przypadkowe ofiary?

– Wiem, że zdarza się to bardzo rzadko, ale nie możemy tego wykluczyć.

Laura nie odpowiedziała. Przez pewien czas szli w milczeniu. Na odcinku stu metrów usłyszała rozmowy w językach katalońskim, hiszpańskim, portugalskim, francuskim, angielskim oraz w jakimś nierozpoznanym języku słowiańskim. Ludzie w Andorze pachnieli drogimi perfumami. Mniej więcej połowa z nich ubrana była niezwykle elegancko, a druga połowa – niedorzecznie. Zarówno jedni, jak i drudzy nosili ubrania, które kosztowały fortunę.

Kiedy zbliżali się do komendy policji, Sallent przerwał ciszę.

– Dlaczego ktoś miałby zabić człowieka śrutem, a potem własnoręcznie włożyć pocisk w ranę?

Laura wzruszyła ramionami.

– To pytanie za milion dolarów.

ROZDZIAŁ 5

Wysiadając z samochodu, słyszę najpierw szelest liści eukaliptusowych poruszanych lekkim porannym wiatrem. Następnie dociera do mnie śpiew ptaków. Czują już nadchodzącą wiosnę i rozpoczynają gody. Milkną tylko na kilka sekund, ilekroć w oddali padnie strzał.

Jest czwartek. W czwartki i niedziele firma turystyczna organizuje w tym sztucznym lesie wyprawy na dziki. Z biegiem lat setki hektarów lasu gospodarczego stały się domem dla rozmaitych gatunków, zarówno rodzimych, jak i sprowadzonych. To las australijskich drzew, w którym Argentynczycy polują na europejskie świnie.

Kładę sosnowy blok na ziemi, opierając go o drzewo. Sześć zbitych razem jednocalowych desek zapewnia odpowiednią grubość. Cofam się o kilka kroków i celuję z pistoletu. Natychmiast oddycha mi się łatwiej. Mój matematyczny umysł odruchowo przelicza ulgę na liczby – jakby ze stu kilogramów gniotących mnie w piersi zostało dziewięćdziesiąt pięć.

Kładę palec na spuście. Wiem, że później nie będzie czasu na taką swobodę, więc powoli zwiększam nacisk, aż pada strzał. To kolejny huk, który niesie się po lesie.

Zamykam oczy i wciągam w nozdrza zapach prochu zmieszany z wonią wilgotnej ziemi. Ucisk słabnie. Dziewięćdziesiąt.

Strzelam raz za razem. Robię przerwy, by nie zwrócić na siebie uwagi. Za każdym razem wyobrażam sobie, że pocisk rykoszetuje i trafia mnie w pierś. Dopiero wtedy nadszedłby prawdziwy spokój.

Po kilku minutach magazynek jest pusty. Podchodzę do drewnianego bloku. Otwory wlotowe tworzą nieregularne kręgi otoczone drzazgami. Zerkam na drugą stronę i z zadowoleniem stwierdzam, że żaden pocisk nie przebił ostatniej deski.

Ostrożnie rozłupuję blok toporkiem, aż znajduję wszystkie trzynaście pocisków. Metal jest nadal gorący, choć dałoby się go utrzymać w dłoni nawet bez rękawiczek. Wiem to z doświadczenia. Ale nie dzisiaj. Dziś rękawiczki są niezbędne.

Deformacje miedzianych płaszczy wciąż mnie zadziwiają. Nie ma dwóch identycznych pocisków po wystrzale – są jak płatki śniegu.

Siedemdziesiąt pięć.

Obuchem siekiery wykopuję dół w miękkiej ziemi, wkładam do niego połamane deski i zasypuję. Na koniec rozrzucam stopą ściółkę. Wszystko wygląda dokładnie tak, jak dwadzieścia minut temu.

Wsiadam do samochodu z trzynastoma pociskami w kieszeni spodni. Wkrótce użyję jednego z nich. Ciekawe, jak nisko uda mi się zejść tym razem. Rekord to dwadzieścia pięć, ale żeby go osiągnąć, trzeba było wykorzystać winylowy trójkąt.

Za kierownicą wyobrażam sobie, że schodzę do dwudziestu. Albo piętnastu. Chociaż to i tak wciąż za dużo.

Osiągnięcie zera jest oczywiście niemożliwe. Od dawna nawet o tym nie marzę. Uciśk w piersi nigdy nie zniknie całkowicie. Mogę go jedynie łagodzić za każdym razem, gdy staje się nie do zniesienia.